

ANNA KOWALCZE-PAWLIK

RECHOT LITERATUROZNAWCY. DYSKURS FEMINISTYCZNY NA
UNIwersytecie

Zawsze jest jakaś historia, którą trzeba opowiedzieć o tym,
jak i dlaczego mowa czyni krzywdę, którą czyni.

Judith Butler, *Walczące słowa*

Wojna na głosy⁷

Może ze cztery lata temu podczas seminarium doktoranckiego odbywającego się w murach uczelni XY wywiązała się dyskusja na temat najnowszych dokonań myśli literaturoznawczej. W pewnej chwili jakiś kobiecy głos rzucił nieśmiało z sali „Cixous, Irigaray...” Nie dane mu było dokończyć, ponieważ męski głos dorzucił: „i feminizm drugiej fali i trzeciej fali”, na co inny od razu dopowiedział: „i piątej, i szóstej, ile tych tam fal było?” Tu nastąpił zbiorowy rechot. Prowadzący w lekkim szoku. Szybka zmiana tematu.

Mnie głos uwiązał w piersi

Można rzec, że głos tak we mnie wiał do dzisiaj, bo scenę tę nosiłam w sobie naprawdę długo. Można nawet powiedzieć, że jest to scena pierwotna, fundująca spektakl

⁷ Niniejszy szkic jest esejem z gatunku wysoce krytycznych i nie należy go odczytywać ani postponować jako próby wyłącznie naukowego / absolutnie nienaukowego opracowania palącego problemu, który jest dostrzegalny w polskim literaturoznawstwie oraz w przestrzeni uniwersytetu jako instytucji.

przemocy popełnianej na kobiecym głosie, nieśmiało zabierającym głos – i dyskursywną przestrzeń, i władzę mówienia o sprawach ważnych – innym głosom, które byłyby tutaj głosami dominującymi, szczerze wypełniającymi sobą dyskursywną przestrzeń uniwersytetu. Jest to kobiecy głos, który zabiera głos sięgając przy tym do dyskursu feministycznego, funkcjonującego bądź co bądź na uniwersytecie. Oczywiście nie ma zgody co do postaci owego funkcjonowania, jej kształt zależy bowiem od ogółu warunków sprzyjających poruszaniu tematów „kontrowersyjnych” na uczelniach i w dużej mierze zależy od polityki władz uniwersyteckich a także od klimatu intelektualnego, w jakim dany uniwersytet istnieje i który współtworzy. Ogólna tendencja jest taka, że w Polsce dyskurs feministyczny daje się zauważyć w wielu miejscach, ale im bardziej konserwatywna uczelnia, tym bardziej owo „miejsce” feminizmów przesuwają się poza uniwersytet, a ich głos staje się tym mniej słyszalny w obrębie samej instytucji.

W mojej scenie pierwotnej głosu feminizmów się jednak nie słucha: jest on głosem zagłuszonym, spostponowanym, wyśmianym – nie, nie wyśmianym, bo ta ironia i ten rehot nie miały w sobie nawet cienia życzliwego protekcjonalizmu, który wyśmiewając pozwala istnieć w jakiejś pozamarginalnej, umniejszonej postaci. Celem rehotu jest śmierć. Śmierć zastępcza: śmierć teorii, bo czymże innym jest niepozwalanie teorii na dochodzenie do głosu, na funkcjonowanie w żywiole myśli akademickiej, w samym centrum rozważań teoretyczno-literackich, jeśli nie wyrokiem skazującym ją na wegetację gdzieś poza peryferiami życia uniwersyteckiego, w odsunięciu poza margines akceptowalnej normy?

Przytoczona przeze mnie historia jest najoczywistszą sytuacją zranienia przez mowę będącą „postępowaniem werbalnym”, o którym pisze Butler w *Walczących słowach: polityce performatywu* (1997, wyd. pol. 2010). Stworzenie ironicznego dystansu, karykaturalne wyolbrzymienie zjawiska przez namnożenie znaczących, podchwycenie wypowiedzi przez inny głos – wszystko to składa się na *interpelację*, takie usta(no)wienie miejsca przywołanego przez kobiecy głos dyskursu feministycznego, które to miejsce

automatycznie mu odbiera, mając na celu uciszenie i wypchnięcie ze sfery uniwersyteckiego życia intelektualnego. Pamiętamy: „ktoś, czyj akt mowy zostaje wyciszony, nie może skutecznie posługiwać się performatywem” (Butler 2010, 102), nie posiada autonomii i jest pozbawiony **prawa głosu**.

Jak pisze Mladen Dolar w swojej niezwykle popularnej książce *Voice and nothing more* (2003, wyd. pol. *Głos i nic więcej*, w przygotowaniu), już u Arystotelesa głos pojawia się w kręgu rozważań o polityce, tworząc podstawy tego, co polityczne. U Arystotelesa głos figuruje jako nadrzędny wyznacznik człowieczeństwa rozumnego i racjonalnego i jest nierozdzielnie związany z istnieniem państwa:

Otóż człowiek jedyny z istot żyjących obdarzony jest mową [*logosem*]. Głos [*phone*] jest oznaką radości i bólu, dlatego posiadają go i inne istoty... Ale mowa służy do określania tego, co pożyteczne czy szkodliwe, jak również i tego, co sprawiedliwe czy też niesprawiedliwe. To bowiem jest właściwością człowieka, odróżniającą go od innych stworzeń żyjących, że on jedyny ma zdolność rozróżniania dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości i tym podobnych; wspólnota zaś takich istot staje się podstawą rodziny i państwa (2001: 27).

Nie bez przyczyny fragment ten pojawia się u Arystotelesa w dyskusji nad naturą państwa i domu jako jego najmniejszej jednostki, co niejako obok mojego wywodu po raz kolejny dowodzi trafności tezy, że prywatne jest publiczne i polityczne. Już na wstępie książki pierwszej *Polityki* pojawia się tylekroć opisana i (wydawałoby się) przepracowana w dyskursie (post)humanistycznym dychotomia władczego męskiego rozumu i poddanej mu biernej kobiecej materii. Czytamy w związku z tym, co następuje:

Najpierw tedy konieczną jest rzeczą, aby się łączyły ze sobą istoty, które bez siebie istnieć nie mogą, a więc żeńska i męska w celu płodzenia... tak samo zdani są na siebie dla swego zachowania ten, kto włada z natury, i ten, kto mu jest poddany. Ta bowiem istota, która dzięki rozumowi zdoła przewidywać, rządzi z natury i rozkazuje z natury, ta zaś, co potrafi tylko zlecenia te wykonywać za pomocą sił cielesnych jest poddana i z natury niewolna: toteż interesy pana i niewolnika są zbieżne. Z natury więc inne jest przeznaczenie kobiety i niewolnika (Arystoteles, *Polityka*, 1252a-1252b, 2001: 25-26).

Angielski przekład wcześniej przytoczonego fragmentu wydobywa na światło dzienne owo zhierarchizowane podejście do sprawy człowieczej, na trwałe wpisane w światopogląd arystotelejski i powielane w językowym obrazie świata, z jakim stykamy się w polskim i angielskim przekładzie: skądinąd wiadomo, że kobieta jest człowiekiem w ograniczonym sensie, „ułomnym mężczyzną”, który ze względu na taką a nie inną formację biologiczną nie posługuje się władzami rozumu, bo nie do tego jest przeznaczony. Tę arystotelejską wykładnię człowieczeństwa kobiety lapidarnie ujmuje stwierdzenie Stagiryty: „należy uważać kobiecość za rodzaj naturalnej deformacji” (2003: 199-200). Szerzej o tym zagadnieniu pisze M.H. Huet, *Monstrous Imagination* (1993). W angielskim tłumaczeniu mamy więc do czynienia z bezdyskusyjnym założeniem, że mowa jest właściwością męską:

Man is the only animal whome she [nature] has endowed with the gift of speech. ... It is the characteristic of **man** that **he** alone has any sense of good and evil, of just and unjust, and the like, and an association of living beings who have this sense makes a family and state (2001, 7-18).

U Arystotelesa dokonuje się podział głosu na głos słyszalny, ale taki, którego się nie słucha, bo jest jedynie oznaką bezrozumnych emocji i w związku z tym nie ma **nic** do powiedzenia oraz racjonalną, ładotwórczą mowę, będącą źródłem etyczności i państwowości. W ramach tego hierarchizującego, dychotomicznego podziału rzeczywistości głos, którego się nie słucha jest właściwy zwierzętom (i kobietom), natomiast mowa rozumna to sfera przynależna mężczyznom⁸. Jest to podział na *phone* i *logos*, który wpisuje się oczywiście w całą historię zachodniego logocentryzmu. Jak pisze Mladen Dolar:

Istnieje wielki podział między *phone* a *logos*, i wszystko zdaje się wynikać właśnie z niego, mimo że sam *logos* wciąż jest uwikłany w głos, że jest *phone semantike*, głosem znaczącym, który zwykły głos przenosi w prehistorię (2006, 105, podana paginacja odsyła do wyd. ang.).

Zdaniem Arystotelesa wartość mowy (od tej pory będę mówiła o *logosie*) polega na tym, że wprowadza kategorie i sądy moralne i że to ona ma być źródłem wspólnoty, podstawą państwowości, a ja dodam: wszelkiej instytucji. *Logos* jest źródłem instytucji, ale też sam się w niej zakotwicza: w końcu na uniwersytecie nie wystarczy napisać dysertację (a czymże innym jest dysertacja, jeśli nie dyskusją?), trzeba ją jeszcze **przedstawić**, jak pisze Dolar, *viva voce*, „żywym głosem”: głosem, którego performatywność wynika z odgrywania społecznego rytuału zabierania głosu. Głos autorytatywny, *głos-logos*, jest głosem, który wdaje się w dyskusję nie po to, by wysłuchać odmiennego stanowiska i je **w sobie rozważyć**, a po to, by inne stanowisko pokonać w **debacie** i w ostatecznym rozrachunku usta(no)wić się jako źródło prawa/prawdy. Pamiętajmy: starofrancuskie

⁸ Nieco uogólniając można stwierdzić, że męskość ma w tym wydaniu swój doskonały wzorzec, ponieważ prawdziwy, rozumny mężczyzna nie może być barbarzyńcą ani niewolnikiem.

debatre łączy hierarchiczne *de-* „w dół” z wojowniczym *batre* „walczyć”, to znaczy „pobić”. Debata jest zatem polem walki, w której chodzi o to, by przeciwnika na trwałe uciszyć. Oznaką tej walki, a zarazem orężem w niej wykorzystywanym i sygnałem zwycięstwa jest śmiech, ale nie byle śmiech: rechot, który w słowniku, chyba nie do końca przypadkowo, odkryć można gdzieś między recesywnością a recitalem. Czymże innym jest taki szyderczy śmiech, jak nie cofaniem się w głąb siebie, zbieraniem się w sobie, ujarzmianiem dyskursu, w solowym występie autorytatywnego głosu, który znieść może wyłącznie jedną skalę, jedną tonację i jeden autoafirmujący temat?

W mojej scenie pierwotnej dochodzi do rytualnego *mordo*: oto prawdziwi literaturoznawcy ostrzem ironicznego performatywu przeryniają łabędzią szyję polskiej filolożki z głową skażoną ideologicznie, a ich zwycięstwo obwieszcza zbiorowy rechot. Jest to uniwersytecka logocentryczna *obsцена*: spektakl władzy *logosu* na uniwersytecie.

Literatus erectus est: prawdziwi literaturoznawcy nie czytają

Pierwotnie podtytuł mojego szkicu miał brzmieć: *o deprecjacji dyskursu feministycznego na uniwersytecie*. „Deprecjacja” oznaczałyby jednakowoż wartość wpisaną w pojęcie, wartość, którą z określonych pobudek wypada zanegować, pomniejszyć, odebrać jej status, który pojęcie to zdołało **posiąść**. Mówię o wartości, posiadaniu i deprecjacji nie bez przyczyny, bo są to określenia ekonomiczne (przykładane również do sfery seksualnej), a przecież nie od dziś wiadomo, że ekonomia jest dziedziną szczególnie pasującą do androcentrycznego sposobu myślenia o rzeczywistości – że posłużę się tutaj stereotypem wyciągniętym z worka binarnych opozycji właściwych *logosowi*. By deprecjonować pojęcie trzeba uznać, że przypisana jest mu pewna wartość, że oto wchodzi ono w relacje władzy, że władzy tej zagraża, bo władzę tę może zubożyć, a nawet zagrozić jej fundamentom. Feminizmowi – a może raczej feminizmom – wartości tej konsekwentnie się odmawia. Dlaczego?

Pascal Quignard w *Seksie i trwodze* przypisuje Septimusowi stwierdzenie: *Celui qui écrit sodomise; celui qui lit est sodomisé*, które Krzysztof Rutkowski tłumaczy następująco: „*Kto pisze – penetruje. Kto czyta – ulega*” (1994, wyd. pol 2002: posłowie tłumacza). Stwierdzenie to w lapidarny sposób ujmuje stan polskiej krytyki literackiej *opanowanej* przez krytyków płci męskiej, którzy niezależnie od orientacji zdają się uprawiać w zamkniętym gronie coś na kształt maskulinistycznej fallokrytyki, w której zmysł / umysł literaturoznawczy znajduje się w stanie ciągłego napięcia, penetruje i odkrywa, posługując się w tym celu debatą i głosem autorytatywnym. Głos ten, który jest nie tylko głosem autorytatywnym, ale przede wszystkim głosem autorytarnym, wytlumia odmienną linię krytyczną i odmienne stanowiska, a już na pewno nie daje dojść do głosu opcji wskazującej na menstruowalność/monstruowalność/konstruowalność własnych założeń teoretycznych, a to dlatego, że opcja feministyczna posługuje się cokolwiek inną optyką, znoszącą autorytaryzm *logosu* i wydobywającą na wierzch jego emocjonalne, stronicze umocowanie, jego *phone*. Trawestując Rutkowskiego, trawestującego Quignarda, który trawestuje Septimusa, można powiedzieć, że stanowisko feministyczne – tak jak ja je widzę – sprowadza się do uogólniającego założenia, zgodnie z którym, „kto pisze – wchodzi w dialog, kto czyta – **wchodzi w dialog**”.

Głos autorytarny zgodnie z arystotelejską wykładnią jest z natury rzeczy głosem etycznym, głosem głębokim, a jego niski ton rzeczywiście wynika z napięcia, jakie, jak wspomina Arystoteles, na struny głosowe wywierają jądra działające jako obciążniki (Aristotle 2004, 128). Obsesyjnie wręcz prokreacyjny, produktywny – bo produkujący teksty w miejsce odczytań – wymiar maskulinistycznej krytyki literackiej bierze się z konieczności ugruntowywania swojej podmiotowości literackiej, swojego krytycznego *ja* w wiecznej debacie, która nie jest dyskusją, a szermierką słowną. Racjonalna mowa maskulinistycznej fallokrytyki sprzyja zyskaniu przewagi całkowitej i ostatecznej, przewagę tę *obscenicznie* obnożając rechem.

Źródła tej sytuacji dopatruję się w niejawnej dyskryminacji, która przyzwala feminizmom na istnienie wyłącznie na własnym podwórku, w feministycznym getcie, z którego nie mogą się wychylać: odmawia im się bowiem prawa do zajmowania miejsca w mainstreamie, zabierania głosu w dyskursywnej przestrzeni teorii literatury jako takiej. Niechęć prawdziwych polskich literaturoznawców do feminizmów bierze się po trosze z braku znajomości zjawiska w całej jego historycznej różnorodności, po trosze z niechęci mocno reakcyjnych środowisk uniwersyteckich do „angażowania” się i wikłania w spory ideologiczne, po trosze do upodobania do krytyki fallocentrycznej, a po trosze z poczucia zagrożenia, jakie niesie za sobą negujący prymat *logosu*, krytyczny, kobiecy, feministyczny głos, który komplikuje optykę literaturoznawczego projektu jako aktu penetracji, pozwalającego prawdziwemu literaturoznawcy na ustawiczne wzmocnienie swojej pozycji (w dyskursie literaturoznawczym, na uniwersytecie) kosztem dialogu z Innym/ą.

Gwoli sprawiedliwości, należy tutaj nadmienić, że głos autorytarny nie jest wyłączną domeną literaturoznawców, jest bowiem wspólny uniwersytetowi jako instytucji i polskiemu dyskursowi w ogóle, jako że ten jest skandalicznie uwikłany w produkcję i powielanie mowy nienawiści. Jak pisze Butler:

Podmiot wypowiadający społecznie raniące słowa poruszany jest przez ów długi szereg krzywdzących interpelacji: cytując ową wypowiedź, podmiot uzyskuje pewien tymczasowy status, inscenizując siebie jako źródło tej wypowiedzi. Podmiot-efekt jest jednak następstwem samego faktu cytowania. Jest pochodną opóźnionego w czasie błędnego podstawienia, za pomocą którego przywoływane w wypowiedzi dziedzictwo interpelacji maskuje się jako jej podmiot i źródło (2010: 61).

Moim zdaniem pozycja intelektualisty jest w Polsce mylona z pozycją artystowską: teoretycznie rzecz biorąc uprawia się naukę dla nauki, ale nie zauważa się przy tym, że

takie stanowisko wcale nie jest transparentne i obiektywne, a boleśnie wręcz przesycone „dziedzictwem interpelacji”: stereotypami właściwymi patriarchalnemu dyskursowi, w który wchodzi również niektóre polskie literaturoznawczynie, stając się zwyczajnie jego częścią i reagując *backlashem* na dyskurs feministyczny, podważający system, w ramach którego z takim trudem udało im się zafunkcjonować. Mowa nienawiści, powielana w sferze polskiego dyskursu, prowadzi do zaistnienia na polskim uniwersytecie sytuacji paradoksalnej, w której do głosu dopuszcza się kobiety, ale czyni się to warunkowo, o ile pomijają kwestie najżywotniejsze, takie jak ich prawo głosu. Posługiwanie się dyskursem feministycznym to z kolei *faux pas*, o którym uniwersyteccy koledzy niełatwo zapominają i które niechętnie wybaczą. *Gender studies* są już bardziej do przyjęcia niż feminizmy, bo niejako z definicji zajmują się zagadnieniami pokrewnymi kwestiom feministycznym, ale nie są z nimi tożsame. Ogólnie rzecz biorąc, feminizmy wzbudzają popłoch (nie tylko wśród humanistów), w związku z czym należy się przed nimi bronić – a jedną z popularnych strategii będzie właśnie ironiczny rechot, rechot jako przejaw resentymentu, a zarazem dążenie do wymazania kobiety, które zdaje się by czymś na kształt jakiejś pseudo-lacanowskiej fantazji o zjednoczeniu się z Ojcem, pominięciu *phone* i bezpiecznym zamknięciu się w *logosie*.

Qichot i ololyga: ugłosowanie

Dlaczego transgender i transeksualność ostatecznie mogą być, a feminizmów w Polsce na akademickie salony nie zapraszamy; a jeśli już na te salony się dostaną, to traktujemy je rytualnym *mordem* na głosie? Dzieje się tak dlatego, że feminizmy wciąż postrzega się przez pryzmat esencjonalności i walki płci, z perspektywy hegemonicznej, na wskroś arystotelejskiej męskości, która w kobiecie z jednej strony upatruje się gorszości i miałości intelektualnej, z drugiej widzi zagrożenie w anarcho/arachno-feministce, a jeszcze z trzeciej rolę kobiety, *pardon*, niewiasty, dostrzega wyłącznie w sferze prywatnej.

W takiej sytuacji krytyka feministyczna nie może sobie pozwolić na bycie jeszcze jednym,

„jakimś tam” sposobem mówienia o literaturze. Nie możemy sobie pozwolić na to, by reakcją na rehot był bezsilny *cichot*, zamieranie głosu czyli głosu skon, który miał miejsce nie tylko w przypadku kobiecego głosu z mojej sceny pierwotnej, ale odnosił się również do mnie, bo ja wtedy – w całym moim otwarciu na dialog, wyniesionym z amerykańskiej teorii literatury – również zamarłam, stając się tym samym niemym ucieleśnieniem *phone*, afonicznym, na wskroś emocjonalnym wyrazem oburzonego zdumienia. Trawestując Dolara, można powiedzieć, że mój niemy (oniemiały głos) stał się: „niemym głosem wezwania, nawoływania, wezwaniem do odpowiedzi, do przyjęcia pozycji podmiotu” (124), co też czynię przy okazji pisania niniejszego tekstu, przepracowując swoją traumę. *Phone* jest wyrazem emocji, a zarazem pierwszym krokiem, przygotowaniem do podjęcia wyzwania w walce na głosy: sporze o miejsce w przestrzeni dyskursywnej. Spór ten nie może odbywać się inaczej niż z odsłonięciem słabości (słabizny?) dominującej ideologii, która nie chce, nie może przyznać, że właściwa jej jasna mowa *logosu* jest ufundowana na zaprzeczonej i wypartej *phone*, poczuciu zagrożenia, które rodzi rehot.

Arystoteles powiada, że wysoki ton kobiecego głosu jest znakiem gorszości kobiety i jej złego charakteru, a to dlatego, że odważne i sprawiedliwe istoty mają nieodmiennie głęboki głos. Z racji owej somatycznej kobiecej niezdolności do posługiwania się głosem głębokim, a co za tym idzie, rehotem – a może raczej dlatego, że rehot prowadzi wyłącznie do jałowego ugruntowania własnej pozycji, bez otwarcia się na dialog i trwania w zamknięciu autoafirmującego *logosu* – krytyka feministyczna powinna wypracować sobie odrębne, własne strategie funkcjonowania na uniwersytecie, które będą reakcją na rehotową mowę nienawiści, nie będąc jednak jej powtórzeniem:

Publiczne wystawienie krzywdy jest także powtórzeniem, ale nie jest nim po prostu, gdyż to, co wystawiane, nie jest nigdy do końca tym samym, co jego znaczenie, w owej szczęśliwej zaś niewspółmierności powstaje językowa szansa na zmianę. Nikt jeszcze nie przepracował zranienia, nie powtarzając go: jego powtórzenie jest

ISSUE NO. 3, 2014 JAK FEMINIZM ZMIENIŁ CZYTANIE LITERATURY? ZBIÓR TEKSTÓW 30

jednocześnie przedłużeniem traumy i znakiem zdolności nabrania dystansu w obrębie samej struktury traumy, jej konstytutywnej możliwości bycia czymś innym. Nie istnieje możliwość niepowtarzania. Pozostaje jedynie pytanie: w jaki sposób przydarzy się to powtórzenie, w jakim miejscu, prawnym czy pozaprawnym, z jakim bólem i obietnicą? (Butler, 2003: 120)

Reakcją na rechot może być „szczęśliwie z nim niewspółmierny” śmiech pozbawiony resentymetu: *qichot* (czyt. z chińska *czichot* lub z japońska *kichot*, głos pełen życiowej energii *chi*, 氣). Taki *qichot* prawdziwy literaturoznawca zapewne weźmie za zwykły chichot (ewentualnie nie nieznaczące somatyczne kichnięcie) i nie omieszka w serii kwiecistych analogii wykazać jego pokrewieństwa ze śmiechem wiedzim z *Makbeta*, co jednak nie zdoła owego performatywu unieszkodliwić, bo *qichot* to wstęp do zyskania pełni głosu, ugłosowienia. Można rzec, że w czasach Arystotelesa ugłosowienie mogło przybierać postać *ololygi*, okrzyku kobiet wydawanego podczas składania rytualnej ofiary i narodzin dziecka: ten okrzyk rozkoszy i bólu to głos silny i energiczny, który jest głosem jednostkowym, a zarazem wspólnotowym. W ostatecznym rozrachunku rechot literaturoznawcy powinien doprowadzić do niewspółmiernego z nim powtórzenia: powstania wspólnoty *qichotu*. Powstanie to jest nie tylko indywidualną formacją feministycznego podmiotu, ale przede wszystkim wspólną rewolucją; kładącą kres *rechotowi* jako recitalowi wyłącznie maskulinistycznej podmiotowości, której punktem wyjścia i celem samym w sobie jest *recholalia*, *erekcja-ja-ja*. *Qichot* wprowadzający oczyszczenie intelektualnego klimatu z mowy nienawiści pozwoli na współczesną *ololygę*: wspólne odkrywanie materialnej warstwy języka, ucieleśnienie głosu, danie mu wyrazu, mocno i zdecydowanie, a zarazem odkrywanie zaprzeczonej i wypartej, niepewnej cielesności głosu maskulinistycznego oraz ujawnianie jego fantazji o zamknięciu w *logosie*, które może okazać się wyzwajające. Tworzenie *ololygi*, w której łączymy się, wspólnie czytając i pisząc, wchodząc tym samym w inkluzywny polilog z innymi głosami / głosami Innych: na tym polega prawdziwe zadanie dyskursu feministycznego na uniwersytecie.

Bibliografia:

- Aristotle. 2001. *The Basic writings of Aristotle*. New York: Modern Library.
- Aristotle. 2004. *History of animals*, translated by D'Arcy Wentworth Thompson. Whitefish: Kessinger Publishing.
- Arystoteles. 2001. *Polityka*, translated by Ludwik Piotrowicz. In *Dzieła wszystkie*, tom 6. Warszawa: PWN.
- Arystoteles. 2003. *O rodzeniu się zwierząt*, translated by Paweł Siwek. In *Dzieła wszystkie*, tom 4. Warszawa: PWN.
- Butler, Judith. 2010. *Walczące słowa. Mowa nienawiści i polityka performatywu*, translated by Adam Ostolski. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej.
- Dolar, Mladen. 2006. *A Voice and Nothing More*. Cambridge MA: MIT Press.
- Huet, Marie-Helen. 1993. *Monstrous Imagination*. Cambridge and London : Harvard University Press.
- Quignard, Pascal. 2002. *Seks i trwoga*, translated by Krzysztof Rutkowski. Warszawa: Czytelnik.